

Białystok 1989, 1990

Urodziłam się w 1925r. w Zakopanem. Szkołę powszechną rozpoczęłam na Kujawach, gdzie mój ojciec został nauczycielem. Po paru latach przenieśliśmy się w Bieszczady. Do gimnazjum zdałam we Lwowie, gdyż tam mieszkali ojca rodzice i rodzina mamy. W 1939r. rozpoczęłam II kl. gimn. Ponieważ miasto było od początku bombardowane, a następnie ostrzeliwane, część nie mieszczących się w szpitalach rannych została umieszczona na Politechnice. Na zebraniu Seclalicyi dowiedziałyśmy się, że ci żołnierze są w bardzo trudnych warunkach, przydałaby się pomoc. Zaczęłyśmy przynosić owoce, papierosy, książki, podawać wodę. Gdy 17 września wkroczyli Sowieci, lżej rannym dopomóżono dostać się do domów, natomiast nie mają pojęcia, co stało się z pozostałymi. Nasze gimnazjum zostało zamienione na "dziesięciolatkę", nadal spotykałyśmy się na zebraniach, teraz już pokryjomu. Już wtedy nasza prezydentka Janina Turba, później znana jako "Danusia", zaproponowała pracę w podziemiu. [Gdy wybuchła wojna niemiecko/rosyjska wróciliśmy z mamą w Bieszczady, gdzie w listopadzie 1942r. mama zmarła. Po paromiesięcznym pobycie w domu, unikając wywózki do Niemiec, postanowiłam wrócić do Lwowa. Nawiązałam dawne kontakty, a w 1943r. zostałam zaprzysiężona. Wybrałam pseudonim "Wanda", ale wśród swoich nadal byłam Krzysią. Mieszkałam u dziadków, a pracowałam w Liegenchafcie przy ul. Głowińskiego jako maszynistka. Dzięki organizacji poznawałam coraz lepiej ukochane miasto, roznosząc pecztę konspiracyjną. [Gdy wrócili Sowieci, znalazłam podobną posadę, tylko przedsiębiorstwo nazywało się "Ukrzbytmiestprom", mieściło się przy ul. Batorego, a maszyna miała inne czcionki. Chyba w 1944r. AK postanowiło dzień 11 listopada uczcić zapaleniem specjalnego znicza na Cmentarzu Obrońców Lwowa. Przygotowałam biało-czerwony sztandar z napisem: jeszcze Polska nie zginęła", dwaj koledzy, Milek i Zdzisiek dostarczyli wózką pojemnik z benzyną, który przenieśliśmy przez mur. Benzynę wleliśmy do urny przy pomniku Nieznanego Żołnierza. Długo jeszcze widzieliśmy lunę, gdy wracaliśmy okreśną drogą do domów.] Chyba dotychczasowa bezkarność przyczyniła się do tego, że już w 1945r. jako miejsce spotkania z nową łączniczką podałam bezpośrednio sąsiedztwo mego biura. Gdy Elza przez jakąś głupią historię w szkole została zatrzymana, przestraszona powiedziała o AK i o mnie, podając adres. Zabrali mnie z ulicy, zaprowadzili na Pełczyńską do głównej siedziby NKWD, po całonocnym przesłuchaniu wypuścili "na wabia". Zaczęło się okropne życie z nieodstępnym "aniołem stróżem, ale udało się ostrzec naszych, a tylko na tym mi zależało. Wreszcie moi "opiekunowie" stracili cierpliwość. [23 kwietnia 1945r. zatrzasnęła się za mną brama więzienia przy Łackiego. Ponieważ zostałam aresztowana sama i bez dowodów obciążających śledztwo miałam w miarę bezbolesne. 11 lipca zostałam zasądzona według par.

~~XXXXXX~~ 54-la-11 na 10 lat obozu pracy i 5¹ pozbawienia praw. Przez 8 miesięcy byłam na "peresyłce", przy ul. Pełtewnej, skąd zdaje się w połowie marca wyjechałam na etap-na Kołymę. Do wagonów upychano chyba po 90 osób. Polek było tylko 5: Zdzicha Paczosinska, Dzidka Bizanc, Hela Bach, Jasia Duda i ja. Poza tym 10 Rosjaneł, 1 Czeszka i Ukrainki. Do Buchty Nachodki dojechałyśmy z początkiem maja. Zaraz na wstępie łaźnia, kosz- marna "sanobrabotka". Kazano nam się kąsać na ławkach, golili mężczyźni. Obóz nad morzem, obok, za drutami umieszczono mężczyzn. Między innymi był tam mąż Zdzichy. W barakach oprócz miejsc na piętrowych pryzach pry- mitywne legowiska rozkładano na podłodze, chodziło się po tym. Często na- pedy mieszkank "zuru"/zona usilnego reżima/, miłosne igraszki zboczeń- ców/kobły i kaweriałki/, niesamowite opowieści o Kołymie, to ciemne stro- ny tego obozu. Były i inne-spotkania z Polkami, przybyłymi z Orszy, wspólne majowe nabożeństwa. Chyba po dwóch tygodniach przyjechała następna gru- pa ze Lwowa i razem załadowano nas na statek "Feliks Dzierżyński", którym dopłynęłyśmy do Magadanu. Pierwszym wrażeniem było chyba zdziwie- nie-więc to jest ta osławiona Kołyma! Takie sobie zwyczajne, niezbyt du- że miasto, na widnokręgu pasma gór o zaokrąglonych szczytach. Wśród prze- chodniów zdecydowanie mniej kobiet, a te nieliczne ubrane jakoś "zabyt- kowo". Wkrótce zobaczyłyśmy wysokie wieże-"wyżki", ogrodzenia, duży obóz. Tam po łaźni i "prożarce" wydano nam letnie bluzki, spodnice lub spodnie, onuce, buty, chustki na głowę. Wkrótce zaczęło nas ubywać, partiami wywo- żono do różnych obozów. Gdy wreszcie i mnie wyczytano, nie było już xx żadnej Polki, ale po przyjeździe na "piątą lesosiekę" zastałam już tam Dzidkę. Zamieszkałyśmy w jednym namiocie, na sąsiednich pryzach, każda dostała koc, materac, wszystko niestety niesamowicie zapluskwione. W tym pierwszym roboczym obozie spotkałyśmy się z dużą życzliwością i współ- czuciem. Nie tylko lekarz i kucharz, którzy byli Polakami, ale dziesięt- nik, brygadier, nawet "bojec" starali się nam ten pierwszy okres ułatwić. Ponieważ nie potrafiłyśmy posługiwać się piłą i toporem, skierowano nas do budowy dróg. Trzeba było zrywać darni, korczować pnie, zasypywać żwirem nierówności. Brygadier wprowadził zwyczaj, że cięższe odcinki drogi kończyło się wspólnie. Mimo ostrzeżeń kapaliśmy się w pobliskiej rzece, woda mimo upałów była lodowata. Prawdopodobnie przez to u wielu dziew- cząt porobiły się wrzody, zaczęła też dokuczać cynga/szkorbut/. Jedynym dostępnym środkiem zapobiegawczym był wywar z igieł słannika, bardzo gorzki. Niektóre nie mogły tego przełknąć, wymiotowały. Ja potrafiłam, zażywałam jak niesmaczne lekarstwo, ale Dzidka nieznosiła tej mikstury, wkrótce zaczęły jej puchnąć nogi, porobiły się rany. Lekarz twierdził, że mogłaby tylko pomóc zmiana klimatu, w rezultacie najbardziej chore wysłał na Lewy Brzeg, do tamtejszego szpitala. Nigdy nie potrafiłam się przyzwycząić do ciągłych rezstań.

[W jesieni zabrano z "piątej lasosieki" wszystkie kobiety. Przewieziono nas na Tałon, gdzie były gospodarstwa rolne, chodowla krów, koni, owiec.] Tu zastałam Irkę Krajewską, poznaną w Buchcie Nachodce, także Adelę Merlak, Bronkę Teichner, Kasię Figurniak. Tej zimy były podobno jeszcze większe niż zwykle opady śniegu. Między barakami przekopywano specjalne tunele. W miasteczku pracę zaczynano od odśnieżania, gdyż inaczej nie można było wejść do pomieszczeń, gdzie przebywało bydło, przechowywano ziemniaki. Ponieważ zabrakło paszy dla zwierząt, wysyłano brygady do scinania wystających spod śniegu gałązek, tak zwanej wietki. Przy takiej właśnie pracy pierwszy raz odmroziłam nogi, co skończyło się po paru latach amputacją palca. Przez jeden sezon byłam z Adą i Sławką w Bałagannem, gdzie pracowałyśmy przy czyszczeniu i soleniu wielkich ryb - była to kita i garbusza/z rodziny łososiowatych/. Pamiętam, że odetchnęłam z ulgą, gdy ~~z~~ stamtąd wyjeżdżałyśmy, bo od soli miałam rany na rękach, ale Ada słusznie zauważyła, że nie byłyśmy głodne. Ponieważ pracowałyśmy w nocy, najstarsza z nas, ciocia Senia gotowała z rybich głów pyszną zupę "uchę", tam też nauczyłyśmy się jeść czerwoną ikrę. Niestety wyjechałyśmy ^{wkrótce} do byłego kryminalisty Zajkowa, gdzie trzeba było kopać ziemniaki od świtu do ciemnej nocy, a potem dźwigać do "oweszczechroniliszczu". Dostawałyśmy tylko 25 dkg chleba i zupę ze zgniłych liści kapusty -. Podobno nie wyrabiałłyśmy normy, którą sam ustanawiał. Pamiętam, jak przepłakałam całą noc z rozpacz, że już nigdy ból kręgosłupa nie minie. Wreszcie wykopałyśmy wszystkie ziemniaki, wróciłyśmy na Tałon, skąd po jakimś czasie skierowano mnie na X "30km", gdzie było duże gospodarstwo rolne, inspekty, Naczelnik pochodził podobno z Truskawca, Ukrainiec - Władimir Onufrowicz Szadyński. Ponieważ miał duże osiągnięcia jako agronom, mimo dużego wyroku/15lat/ pozostał na tym stanowisku, gdy prawie wszystkich politycznych ~~z~~ stamtąd zabierano. Praca na roli była również ciężka, ale wikt o wiele lepszy. Sam naczelnik dbał, by zupy zagęszczać ziemniakami, dokarmiałyśmy się surową kapustą, rzepą - każda miała oddzielne łożko. Nie było żadnego ogrodzenia, a mieszkający z rodziną w oddzielnym domku "nadzieratel" rzadko nas liczył i ^{nie} ~~prawił~~ ~~ka-~~ ~~zańia~~. Do obozu w Tałonie było około 6 km, mogłam więc od czasu do czasu odwiedzać Irkę i Bronkę. Tutaj żadnej Polki nie było, ale Litwinka z Wilna Ona Andruszkiewicz utnie mówiła bezbłędnie po polsku/jeśli chciała/. W razie choroby otrzymywało się od Sławki - Lwowianki skierowanie do szpitala, gdzie można było wyleczyć się i odpościć. "Naczalnicą" była Tamara Aleksiejewna Fiodorowa - znakomity lekarz, mądry i dobry człowiek. Mimo odbywanego wyroku /15 lat/ pozostawała niezmiennie na tym stanowisku, jako niezastąpiona. Często przychodzili do niej po poradę wolni chorzy z miasteczka, choć mieli swojego lekarza. Również pod jej ^{opieką} ~~rodziły~~ ~~żeny~~ ~~dygnitarzy~~. W miarę możliwości przyjmowała do szpitala nie tylko ciężko chore, ale i prosto zamęczonych. Nie

uznawała żadnych różnic narodowościowych, liczył się tylko potrzebujący ratunku człowiek. [Z tego okresu pamiętam jeszcze przejeżdżających na zaprzęgach reniferów tubylców. Okropny był widok przywiezionych zapewne dla odkarmienia, mężczyzn z "prisków"/kopalnie złota/Były to cienie ludzkie-dopiero po paru tygodniach upodobniali się do pozostałych więźniów, też przecież raczej szczupłych.] Zdarzały się wypadki samookaleczenia /odcięcie palca/, aby uchronić się przed powrotem do tamtego piekła. [W 1949 weszło w życie rozporządzenie, o którym przebąkiwane od dawna. Oddzielono prawie wszystkich politycznych od "bytowików".] Pozostały tylko jednostki, jak Tamara Aleksejewna, Włodimir Onufrowicz. Z początkiem zimy zawieziono nas do Magadanu. Poznałam wtedy Lale Klesowską, Ziętę Górską, Martę Witczak i wiele innych Polek. [W bezpośrednim sąsiedztwie, oddzieleni tylko drutami, znajdowali się mężczyźni, wśród nich wielu naszych redaków.] Kilku z nich: pan Wachsmann, Edek Kazimierczak, Janusz Walicki, dzięki pracy w księgowości mogli przychodzić i do naszej zony, z czego często korzystali. Wkrótce też zaczęły przelatywać nad drutami listy. Właśnie tą drogą dowiedziałam się o pobycie w Magadanie znanego ze Lwowa Milka Malinowskiego /Kłeczek/. Niezrównaną specjalistką w przetrzymywaniu listów była, ^{Lala} najczęściej spacerująca pod drutami. Z nastaniem wiosny zaczęły się etapy. Mnie z Irką i Martą wywieziono do lasu, ~~ktu~~ do jakiegoś małego punktu, nie było tam ogrodzenia ani żołnierzy. W jednym domku mieszkał naczelnik, który wyznaczał i przyjmował pracę, wydawał narzędzia, była też chyba jakaś kuchnia, ale bardzo prędko okazało się, że nie ~~ma~~ ma tam prawie żadnych produktów, a drogi nieprzejezdne. Ciągłe słyszałyśmy, że nie wyrabiamy normy, nie możemy nic wy magać. Śnieg już topniał, miałyśmy więc stale mokre nogi, w namiocie przy jedynym piecu suszyły się po pracy buty, onuce, nie było czym od- dychać. Tylko niektóre słusznie zauważyły, że nie warto się zamęczać, bo skutek taki sam, reszta wyglądała jak zmory. Wreszcie wraz z produk- tami przyjechała jakaś komisja, nawet ich zaskoczył nasz wygląd. Dla sześciu najsłabszych przyznano podwójne porcje, reszta otrzymywała 70 dkg chleba i normalny wikt, nie "sztrafnej". Oprócz tego w lesie pojawiły się jagody, grzyby, skończył się ten okropny głód. Niezadługo zaczęto ~~z~~ stamtąd zabierać, z pierwszą grupą wyjechała Irka po miesiącu i ja wyjechałam na Wakchankę, potem na Dietren. Marty już nigdy nie spotkałam, podobno już jako wolna mieszkała w Magadanie. -Znow trzeba było pracować przeważnie w lecie przy wyrąbie lasu, w zimie trzeba te sęgi zwozić do fabryki, elektrowni. Nakładało się na sanie jak naj- więcej, bo przecież była norma i ciągnęło parami. Jakże często przypomi- nały się wtedy takie biedne szkapy, ciągnące przeładowany wóz. Na wiosnę wysyłano brygady do czyszczenia "perewału". Była to droga, którą prze- jeżdżały samochody, w zimie zupełnie nieprzejezdna. Pracujące przy odśnie- żaniu "Perewału" często zapadały na chorobę oczu, powodowaną silnym

blaskiem promieni słonecznych, odbijających się od oblodzonych zboczy górskich. Ja miałam to "bielmo" dwa razy, za drugim razem nie było lekarstw, myślałam, że oślepnę. Gdy nie było śniegu, w lesie pozieleniało, oczy przestały boleć. Wiele też bólu wycierpiałam, gdy zgniotło mi nogę w kostce w czasie jazdy do lasu saniami, ciągnionymi przez traktor. Jakiś czas leżałam w szpitalu, na szczęście można było prześwietlić, był wtedy rentgen. Byłam spokojniejsza, że kości całe, a żeby noga nie puchła zalecono trzymać uniesioną. [W 1953r pracowałam w nocnej zmianie na "Motowozce". Były to elektryczne wagoniki, przewożące różne surowce, budulec, czasem ludzi do obozu, znajdującego się na górze /Butowicza-g?/ W pewien marcowy dzień zbudził nas płacz. To zawodziły Rosjanki, które dowiedziały się, że zmarł "batia" Stalin. Myśmy miały raczej nadzieję, że zmieni się coś na lepsze. Ale dla mnie jedyną istotną zmianą był inny obóz - Chenikandża. Było tam jakoś penure, obóz i miasteczko znajdowało się w kotlinie, wszystkie sopki wokół wyglądały jak plastry miodu, podziurawione otworami kopalń.] W obozie spotkałam wiele znajomych z Magadanu, między innymi Lale, która tam straciła nogę. Serce mnie zabolalo, gdy zobaczyłam, jak ta wiecznie ruchliwa dziewczyna porusza się z trudem o kuli. [Przez jakiś czas pracowałam na szurfach. Były to takie rowy, z których odrzucało się kamienie aż do skały, kuło łomami otwory, w które mężczyźni zakładali materiały wybuchowe. Rzadko trafiała się żyła rudy. Po jakimś czasie zostałam przeniesiona do pracy w kopalni kasyterytu.] Brygadierką była Rosjanka, okropnie pyskata, a pracowało się nocą. Myślałam, że gorzej nie mogłam trafić. Rzeczywiście było bardzo ciężko. [Nigdy dotychczas nie byłam w kopalni, w dodatku tak prymitywnej. Tylko jedna, "Wostocznyj 2" była zelektryfikowana, w pozostałych posługiwaliśmy się lampkami karbidowymi, które często gasły. Do sztolni spuszczało się po t.zw. "roztrięłach" - takich drągach, zaklinowanych między ścianami. W kopalni zostałam zatrudniona przy wywożeniu urobku. Transport odbywał się za pomocą wagoników, ręcznie pchanych po szynach. Cała sztuka polegała na tym, by nie dopuścić, by taki wagonik zeskeczył z szyn, bo nie starczyło siły postawić z powrotem bez pomocy majstra, lub doświadczonych koleżanek.] Przez jakiś czas byłam "burylszczycą". To była bardzo wyczerpująca praca - trzeba było w dwójkę obsługiwać świder pneumatyczny. Na szczęście brygadierka Szura zauważyła, że coraz gorzej wyglądam. Zdecydowała o przeniesieniu mnie do lżejszej pracy. Wprawdzie kończyłam wyrok, przydałyby się większe zarobki, które naliczano za cięższą pracę, ale tracąc siły w takim tempie, nie będę miała okazji ich wydać. Potem jeszcze wracając w czasie ślizgawicy z pracy pasukudnie zwichnęłam nogę w kostce. Dostałam zwolnienie tylko na 3 dni.] Teraz ta "groźna" brygadierka pozwalała mi w cześciej schodzić

z sopki, gdzie znajdowała się kopalnia, a w ciągu dnia dostawałam ulgową pracę, bez wspinaczki. - Nareszcie przyszedł dzień tak bardzo oczekiwany. [19 marca 1954r. podpisałam jakieś papiery - byłam "wolna"! Już wcześniej wiedziałam, że otrzymałam przeszło rok "zaczotów" za niektóre prace.] Miesiąc po mnie miała wyjść również z Chenikandży Tola Kierys /La-uda/. Umówiliśmy się, że na nią zaczekam w Ust Omczagu, bo tam odwożono w zakrytych ciężarowych samochodach "wolnych". [Nie zapewniano noclegu, otrzymywało się zarobione w obozie pieniądze, w biurze co parę dni dawali skierowanie do miejsca pracy i tam tylko można było zamieszkać.] Tak się szczęśliwie złożyło, że w Ust Omczagu mieszkała z rodziną Hela Bach, jak zwykle serdeczna i uczynna, zatrzymałam się więc u niej. Pomogła mi uszyć coś z ubrania, nareszcie bez numerów. W obozie miałam numer Ż-19534. Rzeczywiście po miesiącu przyjechała Tola, namawiała, by o ile możliwości pojechać na 72km, bo tam są nasi chłopcy, z którymi korespondowałyśmy w 1949r. Ponieważ wkrótce przyjechali "kupcy" właśnie stamtąd, zgłosiłyśmy się. [Na miejscu okazało się, że mieszkanie musimy sobie same znaleźć, a praca tylko przy budowie dróg lub w Hucie Szklanej.] Wybrałyśmy to drugie - przynajmniej praca pod dachem i w cieple /w lecie aż za gorąco/. Codziennie można było korzystać z prysznicu z gorącą wodą - to nam się najbardziej podobało. Parę nocy spędziłyśmy w biurze, potem przeniosłyśmy się do dawnego baraku obozowego, który został podzielony na mieszkania. Jedno zajmowali Staszek, Tadzik, Janek. Ponieważ pracowałyśmy z Tolą na różnych zmianach, wystarczyło nam jedno łóżko, a pierwszym tutaj sprawunkiem był zegarek. Ponieważ właśnie wypadła Wielkanoc, byłyśmy na uroczystym wspólnym śniadaniu, które urządziła Nadia, żona Julka Jurewicza. [W Hucie z początku przewoziłam ciepłe jeszcze tafle szkła do majstrów, którzy je kroili. Nie obyło się bez wypadku - do dziś mam bliznę na czole.] Po pewnym czasie udało mi się zdobyć zawód szlifierza. Szlifowałam cukiernice, maselniczki i t.p. Po paru miesiącach Tola wyszła za mąż za Zbyszka Laudę i wróciła do Ust Omczagu. Ja w tym czasie korespondowałam już z Benkiem, który dostał mój adres od Milka. Ażeby zmienić miejsce zamieszkania potrzebna była zgoda komendanta, u którego co miesiąc trzeba się było podpisywać. Nie wystarczyła chęć bycia razem i rozpoczęcia wspólnego życia. Musieliśmy pokonać biurokrację obu speckomendantów - mojego i Benka. Gdy z Sejmczanu przyszło pismo na 72km, nasz opiekun nie wyraził sprzeciwu, ale swoje pozwolenie wręczył jakiemuś Litwinowi, który mnie wcale nie znał. Komendant Rosjanin uważał, że między "nieruskimi" nie ma dużej różnicy. Nie znając przyczyny braku pozwolenia na zmianę miejsca zamieszkania prowadziliśmy nadal ożywioną korespondencję. Ponieważ co miesiąca trzeba się było podpisywać, więc przy okazji zapytałam o to pozwolenie. Komendant

odpowiedział, że przecież już oddał... komuś. Benek postarał się o drugi "dokument", z którym pojechałam na Pałatkę, gdzie urzędował nasz "opiekun" i teraz już mogłam wyjechać. W międzyczasie zwolniła się z obozu i przyjechała do Staszka Kaweckiego Lala, było więc huczne wesele [Z początkiem czerwca rozliczyłam się z hutą, pożegnałam z rodakami i 12 poleciałam samolotem do Sejmczanu.] Na lotnisku oczekiwali Benek i mieszkający razem Ładzik Jaworski-Lwowski. Pobyt w Sejmczanie wspominam zawsze bardzo serdecznie. [Tam był prawdziwy dom, nie zabrakło nawet mądrego, wiernego psa i rozkosznego kociaka.] W najbliższym sąsiedztwie mieszkał z Januszem Welićkim Poldek Cwikła, który czytał nam swe opowiadania, wiersze, wpadał na pogawędki Rysiek Nowacki-Warszawiak, przynosił gazety i najświeższe wiadomości Staszek Czuruk. 16 czerwca w tutejszej speckomendanturze urzędował jakiś major, który zawiadamywał Polaków o możliwości powrotu do kraju. W ^{tem} też dniu w tutejszym "Zachsie" wzięliśmy ślub. [A potem to już było oczekiwanie, snucie planów, marzenia... Dopiero w październiku najpierw lot do Magadanu, sprawdzanie dokumentów, spotkania z wieloma znajomymi. Wreszcie 29 okręt odpłynął od brzegów Kołymy. Powrót trwał około miesiąca, z krótką przerwą w Chabarowsku. Granicę przekroczyliśmy 3 grudnia 1955r. Na punkcie repatriacyjnym w Żurawicy zobaczyliśmy napis "Witajcie Rodacy!". Po załatwieniu różnych formalności otrzymaliśmy karty repatriacyjne.] Ja po raz pierwszy podpisałam się nazwiskiem męża. W Związku Radzieckim zmiana nazwiska dla więźniów politycznych była niedopuszczalna. Do Białegostoku, miejsca zamieszkania rodziny Benka przyjechaliśmy 5 grudnia. [I tu zaczęła się szara rzeczywistość w P R L.]

Znaczenie wiary, religii... Wydaje mi się, że musiało się tam wierzyć w coś nadprzyrodzonego, bo ta rzeczywistość była zbyt okropna. Ja modliłam się, często swoimi słowami, było to nieraz poprostu westchnienie do kogoś mocniejszego, mądrego. A oprócz Boga bardzo kochałam swoją matkę i trochę szukałam jej pośrednictwa u Matki Boskiej Nieustającej Pomocy. Nieraz wydawało mi się, że nie ma ratunku, nie starczy sił, by ciągnąć dalej takie życie, a jednak ten ratunek nadchodził. Z początku starałyśmy się urządzać wspólne święta, gdy nie było Polek, to z Litwinkami, ale było i tak, że nie wiedziałam, kiedy wypada Wielkanoc, z przerażeniem przyłapywałam się na tym, że zaczynam myśleć po Rosyjsku.

Benek: Jeżeli było się razem z "błatnymi", jeżeli każda oznaka uczuć religijnych wywoływała piętrowe przekleństwa, w Boga i w "mat", nie chciało się na to narażać swych przekonań. Byłaby to profanacja i bluźnierstwo. [Inie można było wtedy eksponować swojej religijności. Pozostawało to wewnątrz nas. Demonstracji religijnych nie było.]

W obozach spotkałem się z baptystami, a kobiety z baptystkami i jakimiś "monaszkami". Były to środowiska bardzo hermetyczne. Monaszki miały bardzo specyficzne zasady - nie uznawały żadnej pracy obozowej, ale jak można było zarobić coś dla siebie, np. wysługując się rodzinom "nadzierateli", lub zbierając jagody, robiły to bardzo chętnie. K. Kiedyś utopiła się w czasie przeprawy przez rzekę jedna Polka, Franja z pod Grodna. Poprosiłyśmy taką starszą monazkę, by pomogła zmarłą ubrać i zmówiła za nią modlitwę. Ale ona odpowiedziała, że "to nie nasza", nic nie może dla niej zrobić. Chlebem też się z nikim nie dzieliły.

B. Z wiarą było różnie, czasem trudno było wierzyć, jeśli się widziało to, co się działo wokół: bluźnierstwa, przekleństwa, sponiewieranych kapłanów. Widziałem się, że ten świat, w którym się żyło i wartości, które się ceniło - nagle się załamały... Nikt z nas na początku nie wierzył, że przeżyjemy ten wyrok. Wydawało się, że nas to nie dotyczy. Wiedzieliśmy tylko, że Polska będzie, bo my walczyliśmy o jej niepodległość i wierzyliśmy, że tę niepodległość odzyskamy i to było ważne. A trzeba było czekać długo, by się ziściło. A wszystko to, co się nazywa wiarą, nie tylko w Boga, potrzebuje jakiegoś paliwa, które podsyca tę wiarę, nadzieję. Jeśli tego paliwa brakuje, to człowiek zatracą wiarę i sens życia wogóle.

Relacja zakończona w marcu 1990r.

w Białymstoku

Prowadząca relację : Małgorzata Giżejewska

Tekst ten w całości autoryzuje


Krystyna Malinowska

prace ni autoryzowane!
146

Wersja z nagrania - vide
Karety

Krystyna Malinowska
/ z d. Budyńska /

Białystok 1989, 1990

Urodziłam się w Zakopanem w 1925r. Wkrótce po moim urodzeniu rodzice przenieśli się do Lwowa, gdzie już potem cały czas mieszkaliśmy. W 39r. byłam w 2-rj klasie gimnazjalnej. Należałam do Sodalicji Mariańskiej i na początku wojny opiekowałyśmy się ~~chorymi~~ chorymi w szpitalu. Po wejściu Sowietów, 17.09. chorych ze szpitala zabrali mieszkańcy do swych domów. Po pewnym czasie wszystkie z Sodalicji wstąpiłyśmy do podziemia, ale narazie nie byłyśmy zaprzysiężone. Pracowałyśmy jako kurierki. Mieszkałam z matką we Lwowie do 42r. Ojciec był nauczycielem w Bieszczadach k/Przeworska. Ojciec zmarł w 42 r. i potem pojechałyśmy do Przeworska, ale mama zmarła w listopadzie 42r. W 43r. wróciłam do Lwowa. Zostałam wkrótce zaprzysiężona w podziemiu. /pseudonim "Wanda", ale nazywali mnie orzecznie "Krzysia"/. Byłam w łączności. Zarówno w czasie okupacji niemieckiej, jak i rosyjskiej pracowałam jako maszynistka w biurze.

W 45r. zaczęły się masowe aresztowania. Aresztowano koleżankę, z którą ostatnio się kontaktowałam, ona podała mój adres kontaktowy i mnie zaarostowali /kwiecień 45r. Na początku śledztwa powiedzieli, że wszystko o mnie wiedzą, że moim komendantem jest "Roman" itp. Ja nie chciałam się przyznać do niczego. Kazali mi chodzić po ulicy i wskazywać znajomych z podziemia. Udało mi się uniknąć tych spotkań. Zatrzymali mnie w areszcie na Pełczyńskiej. Zaczęło się przesłuchanie. Ponieważ miałam długi warkocz, więc ciągnęli mnie za włosy, bili w plecy. Zaproponowali, że wypuszczą mnie "na wsia". Wróciłam do domu - do dziadków. Trwało to tak do kwietnia. Cały czas mnie śledzili. Zdażyłam jednak ostrzec kogo trzeba. 23 kwietnia zadzwonili do mnie do biura i kazali zgłosić się do więzienia na Łackiego. Śledczy spytał, czy mam coś do powiedzenia. Odpowiedziałam, że nie, bo przecież wszyscy wiedzieli, że jestem śledzona. Zaprowadzili do celi. Było tam 8 dziewcząt - Ukrainek - banderówek. Zaczęły się upały. W dzień nie wolno było poło-

żyć się do łożka. Wszystkie miały swierzb. Codziennie słyszałyśmy strzały z miasta. 9 maja też usłyszałyśmy bliskie strzały i myślałyśmy, że albo nas chcą odpuścić, albo znowu ludzi mordują. Z dolnej celi przez wodociąg dostawałyśmy wiadomość, że to jest koniec wojny. Ale u nas nic się nie zmieniło. Zapanowała epidemia tyfusu. Po tym znowu wznowili śledztwo. 11-go lipca dali mi do podpisania protokołu. Z nich właśnie się dowiedziałam, że to ta Elza /ostatni mój "kontakt"/ nas wydała. PO tygodniu wywołali mnie na podwórze i zawieźli samochodem do sądu. Byłam jedyną kobietą wówczas sądzoną. Reszta - to byli mężczyźni - barderowcy. Dostałam wyrok: § 54, p.1a /zdrada ojczyzny/ i p. 11 - należenie do organizacji /"bandy"/. - 10 lat obozów pracy i 5 lat pozb. praw ob. Jeszcze w czasie tego sądu proponowali mi współpracę, wyjazd do Krakowa, czy gdzie indziej do Polski, a za to anulowanie wyroku. Wszystko to wydawało mi się niepoważne, bo przecież wojna się skończyła. Oni mi tłumaczyli, że napewno nie będę musiała odbyć tych 10 lat, ale i narazie jest taka formuła.

Zawieźli mnie z powrotem do więzienia, ale już do innej celi. Po 2 tygodniach zawieźli mnie do obozu przejściowego, gdzie byłam cały rok. W tym miejscu w czasie okupacji niemieckiej było getto. Siedziała z nami Żydówka, która za Niemców też tam była uwięziona. W obozie było bardzo dużo Polek. Zorganizowano kontakt z ludnością. Część więźniów wychodziła do pracy do miasta. Część kobiet pracowała w pracowniach, krawieckiej, malarskiej itp. Ja pracowałam przy robieniu lalek. Kontakt z rodziną była wtedy stały, nawet codzienny. Przynosili obiady, paczki. Więźniarki były i polityczne i kryminalne. Wiele kobiet przywieziono prawie prosto z niewoli niemieckiej.

Wyjechałam na etap dopiero w marcu 46r., gdyż pomylili moje papiery, które zawieziono na Peczorę. Na początku 46 r. była duża czystka wśród Polaków, gdyż 16 osób uciekło przez kanały wodociągowe. Nikogo nie złapali, ale po tym wszystkich Polaków wywieźli z obozu.

nie wywieziono prosto na Kołymę.

Po czątkowo w jednym wagonie było nas 5 Polek: Zdzicha Paczosińska, Dzidka Bizanc /Szmigiero/, Jasia Duda, Hela Bach i ja. "eszta - to same Ukrainki /polityczne i kryminalistki/. W wagonie było chyba z 90 osób. Spałyśmy pod jedną ścianą, na nogach innych. Były 2 prycze, ale zaraz zajęły je "błatniaczki". Pośrodku stał piec, w którym nie palono i tylko przeszkadzał. Po paru dniach złodziejki okradły nas z zapasów żywności. Po pewnym czasie doszły jednak do porozumienia, bo Hela umiała ładnie szyć, inna - czesać, opowiadałyśmy sobie różne ciekawe rzeczy, więc wolały być z nami w zgodzie. W Omsku podzielono nas na 2 grupy - po łaźni. Ja zostałam ze Zdzichą Paczosińską, której mąż jechał w sąsiednim wagonie. Zobaczyłyśmy go przy wyjściu do łaźni. Mężczyźni wyglądali okropnie - jak starcy. Byli poobdzierani przez złodziei z ubrań, z butów, szli w strasznych łachmanach.

Pod koniec podróży bardzo się już źle czułam, robiło mi się ciemno w oczach, ale jakoś dojechałam do Buchty Nachodka /maj/. W Nachodce zaprowadzili nas do łaźni, kazali położyć się na ławach nago i 3 mężczyźni golili nas /byli to więźniowie kryminalni/. "aprowadzono nas potem do obozu przejściowego, gdzie był straszny tłok. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłyśmy wśród kryminalistek tzw. chabłow - dziewczęta, które nawet głos miały podobny do mężczyzn i ubierały się po męsku. "worzyły pary z innymi kobietami. W obozie tym znajdował się tzw. zur - ogrodzony barak, w którym siedziały najbardziej niebezpieczne kryminalistki. Tam nawet żołnierze bali się zachodzić. Te kobiety miały nawet noże, na niczym im nie zależało i mogły się na wszystko zdobyć. Większość z nich pochodziła z domu dziecka. "ak przyjeżdżał świeży transport więźniów, to one podchodziły, patrzyły co im się przyda i zabierały. Był taki incydent: jednej z "krajek taka błatniaczka zerwała ładną chustkę z głowy. "astępnego dnia na "prowierce" właścicielka zobaczyła swoją chustkę na głowie innej więźniarki i zameldowała o tym konwojentowi. ten zabrał chustkę i oddał Ukraince. Wieczorem przyszły dwie błatniaczki do

naszego baraku, jedna odebrała Ukraice chustkę i uderzyła ją nożem tak, że przecięła jej rękę na ręce. A zaczęła krawać, nasza Hela zemdląca, bo miała słabe serce i obie zabrano do szpitalika. Następnego dnia odwieźliśmy Helę, która nas błagała, żeby ją stamtąd zabrać, bo jakaś białniaczka chodzi i wali po głowie inne chore. Udało się nam Helę zabrać do baraku.

Na Kółmie nasłuchaliśmy się dużo, więc starałyśmy się zamienić jak najwięcej rzeczy na żywność. W jednym baraku było chyba z 1500 osób. Spaliśmy na narach i na podłodze. Rano była pobudka, potem rozdawanie chleba, stołówka. Po południu odprawialiśmy nabożeństwa majowe - jakoś pozwalali. Na noc trzeba było zamykać baraki i dyżurować, bo złodziejstwo było straszne, a białniaczki z zuru urządzały napady. Przy przygotowywaniu się do etapu /do innych obozów/ kryminalistki zapuszczały sobie ołówek chemiczny do oczu, bo myślały, że jak będą ślepe, to ich dalej nie wywożą. Ale i tak je gdzieś zabrano. W Nachodce byłyśmy przeszło miesiąc, potem tydzień płynęłyśmy statkiem "Feliks Dzierżyński" do Magadanu. Tam też był obóz przejściowy, z którego rozsyłano do obozów pracy. Mnie wywieziono na końcu - razem ze Sławką - lwowianką. Wywieziono nas do lasu, gdzie były namioty. Spotkałam tam Dzikę Bizanc. Pracowałyśmy przy pilowaniu drzewa, potem budowałyśmy drogę. Był tam lekarz i kucharz - Polacy z pochodzenia. Rosjanie, którzy tam pracowali od kilkunastu lat byli dla nas dość ludzcy. Dużo nam opowiadali o warunkach na Kółmie. Po pewnym czasie zaczęły się nam robić wrzody /awitaminoza i zimna woda/. Co jakiś czas wysyłali chorych na tzw. lewy brzeg /Kółmy/, gdzie był centralny szpital. Wysłali tam Dzikę, mnie nie, bo wrzody same się zagoiły od picia "słannika". Dzikka nie mogła tego przełknąć. Ja zostałam początkowo na 5-ej "łasosiece", a potem przewieziono mnie do Talonu, gdzie były gospodarstwa rolne. Spotkałam tam Irkę. W zimie, w Talonem wyrabiano się nawóz pod inspekty, przebiegało się kartofle: układało się je do światła, wypuszczaly kiełki i dlatego tak szybko - w ciągu 3 miesięcy - rodziły. Urodzaj tam był nadzwyczajny: z jednego krzaczka kartofli napełniało się cały, 15-kg kosz. Ziemia była tam też b. urodzajna, z nawozem naturalnym.

Rubylcy- Czukczowie i Jakuci sprzedawali mięso reniferów, morsów. Przez jakiś czas pracowałam na 30-tym kilometrze. Nie było tam ogrodzenia. Mieszkał tylko żołnierz z rodziną. Naokoło były pola z kartoflami i tur- nepsem. Mieszkałam razem ze Sławką- Ukrainką ze Lwowa. Dostałyśmy osobny pokój, bo ona pracowała jako felczer /była po I-ym roku medycyny/. Do południa pracowała z nami w polu, a po popudniu przyjmowała chorych. A było ich strasznie dużo, zwłaszcza w czasie kopania kartofli, bo wtedy zwożono kobiety z innych obozów. Pewnego razu poszłam na pole narwać rzepy, usłyszałam jakiś hałas, myślałam, że to jakaś kobieta, a to był niedźwiedź, który wyrywał rzepę i ubijał ją nogą.

Potem byłam przez jakiś czas w Bałagonnem /Bałagonnoje/, nad morzem gdzie łowiono ryby, które myśmy soliły.

Na przełomie 48/49r. zwieźli wszystkich do Magadanu i całą zimę było rozdzielanie więźniów politycznych od kryminalnych. Paragrafy polityczne to były: § 58 - z terenów ZSRR, § 54 - z Ukrainy, Lwów i okolice, § 63 - wileńszczyzna. Po rozdzieleniu - kierowali do pracy. Irkę i "ronkę" wywieźli wcześniej i w zimie nocowały w namiotach przy wyrębie lasu. Ja miałam szczęście i zostałam w obozie w Magadanie. Dostałam numer 2-1-534. Malowali białą farbą na ciemnym tle - na chusteczkach, na kolanach i na plecach /wycinało się dziury i wszywało łąty z numerami/. Nie spostrzegłam, aby od tego momentu w obozach dla politycznych zapanaował ostrzejszy rygor. Wszystko zależało od szczęścia, a właściwie od miejscowego komendanta i służby obozowej. Zdarzało się np., że katorżniczki niekiedy pracowały w cieple, w dobrych warunkach. A za to przed powstaniem "Bierłagu" - czyli tych spec-łagrów pracowałyśmy w jednym gospodarstwie rolnym, gdzie było koszmarnie. Maczelnikiem byk eks-więzień, który osobiście pilnował, żeby nie dodano choć jednego kartofla do zupy. Stale wyznaczał taką normę, że nie można jej było wyrobić.

Dostawałyśmy ciągle tylko 25 dkg chleba dziennie, bo więcej nie można było wyrobić. Ten "nadzieratiel" wychodziła rano na pole i na olbrzymim polu wyznaczał rząd kartofli, który należało wykopać. Kopaliśmy aż do późnej nocy, spało się pokotem w namiotach. Oprócz tej zmniejszonej

porcji chleba dostawaliśmy tylko wodnistą zupę z liśćmi kapusty. Byliśmy głodne i przepracowane. Po zakończeniu sezonu, czyli wykopaniu kartofli naczelnik zwolnił 80% kobiet do innych obozów, a reszta została na zimę. Przerabiało się te kartofle, ładowało je w worki. To gospodarstwo to było coś w rodzaju kołchozu, ale jedynymi wolnymi to był ten naczelnik i jego żona, reszta - to więźniowie. Tam mi się już żyć nie chciało, taka byłam głodna i tak krzyż bolał.

Warunki życia w obozie i normy pracy zależały właściwie od komendanta i dlatego były różne w różnych obozach. Znany komendantem był Kryłow, który w 49 był komendantem całego "Bierłagu", a potem został komendantem jednego z obozów, zdaje się, że Wakchanki. To była bestia, nie człowiek. Znęcał się nad więźniami i po pewnym czasie przenieśli go. Następnym komendantem został jakiś Rosjanin - bardzo ludzki. Rozmawiał nawet z nami. Jego żoną była dentystką, świetnie leczyła zęby, plombowała, wrywała. Mnóstwo ludzi się do niej zgłaszało. Ale po pół roku też ich przenieśli.

W 49r. zawieźli mnie na Ditrin, a potem do Wakchanki. Były tam kopalnie kasyterytu. Myśmy pracowały w lesie, a w fabryce przy kopalni - katorżanki /z wyrokami ponad 10 lat/. Wbrew pozorom to była lepsza praca, bo w cieple, pod dachem. Po 49r. katorga została zniesiona, ale wysokie wyroki /do 25 lat/ utrzymane. W tych latach nie było widać różnicy między zwykłymi więźniarkami a katorżankami. Ale podobno w 42, 44r. warunki były straszne - katorżaniki prowadzono do pracy skute itp.

W Wakchance i Ditrinie z wyżywieniem było różnie. Zależało to od komendanta i od aprowizacji /pogody/. Chleb był ciężki, wilgotny, z łuskami od ziarna. Podstawową normą było 700kg. Jeśli ktoś wyrabiał procenty /normy/ to mógł dostać nawet 1,1 kg. Były też specjalne premie - też w postaci chleba.

Jeśli chodzi o podejście do pracy to było różne. Ja pracowałam ile mogłam, bo nie lubiłam, żeby mi ktoś wykrzykiwał nad głową.

W ostatnim obozie, w którym byłam, w Chin-chan, dży było już koszmarne. Przywitał nas bardzo serdecznym przemówieniem tamtejszy naczelnik, a potem kazał nam zabrać łyżki. Cały czas musiałyśmy jeść zupę

i kaszę skórkami od chleba. Powiedział z miłym uśmiechem, że kazał nam zabrać te łyżki, żebyśmy sobie czegoś z tego nie zrobiły. Ale co można było zrobić łyżką? Nic się takiego nie zdarzało. Nie wiem co mu to dało. Masz byt w tym obozie zaczął się od rewizji i tabrania łyżek. Abyło to strasznie przykre - jeść chleba. W Chin-čan-dży pracowałam w kopalni kasyterytu. Oprócz tego wydobywało się kamienie z szurfów, żeby dostać się do żyły rudnej. Była to beznadziejna praca zorganizowana chyba tylko po to, żeby ludzi zatrudnić, bo przy najmniejszym wstrząsie kamienie sypały się do tych dołów i trzeba było zaczynać od początku. I nigdy nie można było wyrobić normy. Dostawałyśmy więc "sztrafnyj pajok" - 250kg chleba i zupę - bez drugiego dania. Poza tym wystarczyło, żeby kierownik nie znalazł względów u dziewczyny do której się zalecał i już cała jej grupa /kilka osób/ dostawała ten ograniczony posiłek. Mam byłam do 54r. Pod koniec pobytu zwichnęłam sobie nogę. Dostałam 3 dni zwolnienia, a potem musiałam chodzić z bolącą nogą po tych górach. Brygadierką była bardzo dobra kobieta, które już siedziała 15 lat, Rosjanka. Wyrażała się okropnie, ale była bardzo ludzka. Po tych 3 dniach zwolnienia musiałamwchodzić na zbocza tych szurfów, ale wyznaczała mi taką pracę zecym jak najmniej chodziła. Najgorsze było schodzenie w dół. Oprócz tego cały czas miałam awitaminozę.

jeszcze wcześniej miałam zgniecioną nogę - na "lesopowale" w "akchan- ce. Na traktor z saniami miałyśmy ładować 1/-metrowe kłocce. Wieziono nas bardzo dużo, ja siedziałam z bezu i przy skręcie san noga dostała mi się między płozy a pieńek. Saręciło mi nogę. Zaczęłyśmy krzy- czeć. Zaniesli mnie do jakiejś siostry. Nie było rentgena. Noga mi spuchła. Zawieźli mnie na drugi dzień do obozu przy kopalni, gdzie był szpitalik. Po jakimś czasie przyjechał przyjezdny rentgen i oka- zało się, że noga nie była złamana, tylko zgnieciona.

Stosunki między więźniarkami były różne. Były takie okresy, że przestałam w ogóle mówić po polsku, bo byłam sama wśród Ukrainek i Rosjanek. Mówioli zaczynało się myśleć po rosyjsku. Konfliktów

specjalnych nie było, poza okresami, kiedy przyjeżdżały "błatnyje".
Miałam taki wypadek: poczuł do mnie antypatię tańtejszy "nadzieratiel"
- żołnierz, zwracał się do mnie ironicznie per "pani", pod byle pre-
tekstem robił mi rewizję, posyłał na najcięższą pracę. Mieszkała wtedy
ze mną starsza więźniarka Górnicka z Urodna, mówiła trochę z białorus-
ka i nie wiedziałam z początku, że jest Polką. Kiedyś ta pani zrobiła
memu prześladowcy straszną awanturę za mnie, pomogło i się odczepił.
Kobieta ta powiedziała mi, że była żoną polskiego sierżanta, a teraz
może wkraść i robić to bez żadnych skrupułów. Pomagała nam zawsze.

Przed 49r. naczelnikiem całego obozu była kierowniczką "sanczasti"
- katorżanka z 15-letnim wyrokiem, Rosjanka. Była dla nas bardzo
dobra, nie zwracała uwagi na żadną narodowość. Kiedyś odmroziłam so-
bie nogi i parę dni nie chodziłam do lekarza, ale potem palec zaczął ta-
tak boleć, że poszłam do niej. Położyła mnie do szpitala, żeby nie
talko mogła się wykurować, ale i trochę odpocząć.
Jak leżałam w szpitalu ze zgniecioną nogą, to lekarka też była niezła.
Oprócz tych "naturalnych" chorób, w szpitalu były przypadki skrobanek
i różnych "mastyrek" - samookaleczeń /zapuszczanie sobie kropli do
oczu, wstrzykiwanie czegoś pod skórę, żeby wywołać wrzody itp/. Prze-
ważnie robiły to kryminalistki. Co prawda ja też miałam taki moment,
że marzyłam o złamaniu sobie nogi, zwłaszcza w zimie, jak woziło się
saniami drewno. Nie wyrabiało się norry i byliśmy strasznie głodne
i słabe. Wtedy myślało się o jakimś wypadku, żeby dostać się do szpi-
tala i trochę odpocząć. Chodziło się do lasu, rano zjadało się od
razu te 250kg chleba, a herbatę i zupę dostawałyśmy dopiero wieczo-
rem w baraku. I rano znów do pracy. Siedziałam kiedyś koło pieca,
pomyślałam: oprę się o ten piec, poparzę się i odpocznę. Ale zawsze
pojawiała się myśl, że może być amnestia, może coś się stanie, a prze-
cież chorych nie wezmą. I wtedy myślałam, że jeszcze dam radę... Szło
się w szeregu i zasypiało w marszu. Pewnego razu przy wejściu do
obozu zatrzymała nas wachta i zaczęli wyczytywać osoby wyznaczone
na "CP" - na odpoczynek. Mnie wtedy też wyczytali. I bardzo się ucie-

szylaam, że sobie nic nie zrobiłam. Po tym wypadku ze zgniecioną nogą kazali mi chodzić na lżejszą pracę - do piłowania drzewa, ale jednocześnie lekarz powiedział mi, żebym nogę trzymała do góry. Pracowałam wtedy z Irką, która bardzo się śmiała z tego zalecenia lekarza. Irka ni wtedy bardzo pomagała.

Łaźnia była różnie - czasem raz na dwa tygodnie, albo rzadziej. Jak nie było wody, to topiło się śnieg. Czasem, jak pracowałyśmy nad rzeką, to korzystałyśmy z niej, żeby się porządnie umyć, bo w łaźni dawali tylko miseczkę wody.

Co jakiś czas była inwentaryzacja, zdawało się stare ubranie i dostawiało "nowe", ale też stare. Bieliznę dostawaliśmy raz na kwartał. W czasie miesiączki wyrywało się watę z fufajek i ze spodni, tak, że po pewnym czasie wyglądałyśmy okropnie. Ja, podobnie jak większość kobiet, przez 8 lat nie miałam menstruacji. Ale silne bóle były. Myślałam, że już w ogóle nie będę miała normalnego cyklu, ale po pobycie na "OP" - w 54r. - odpoczęłam trochę i zaczęło się normalnie.

Niektóre kobiety jednak rodziły dzieci w obozach. Dla dzieci były specjalne domy dziecka - poza obozami. Matki chodziły tam karmić je. Dzieci trzymano do 1-go roku życia. Przedtem podobno zabierano matkom dzieci od razu, zwłaszcza katorżankom, i one więcej tych dzieci nie widziały. Dopiero pod koniec lat 40-tych powstały te przyobozowe domy dziecka. Kobiety-matki miały ulgi tylko w czasie ciąży i karmienia /lżejszą pracę/, więc nie sądzę, by kobiety rodziły specjalnie. Jeżeli któraś zaszła w ciążę z wolnym, to tego mężczyznę aresztowano, bo nie wolno było się wiązać z "zakliuczoną". W więzieniu z tym, kobiety przeważnie nie mówiły kto jest ojcem dziecka.

Wśród Polaków byli i tacy, którzy nie chcieli mówić po polsku, żeby nie narażać się na uwagi i szykany ze strony współwięźniów - Ukraińców i Rosjan. Dlatego myśmy czasem nie wiedziały, że jest wśród nas jakaś Polka. Niektórzy potrafili się tak dostosować... Jedną z takich Polek /Gonia/ przebywała tylko z Rosjanką brygadzistką, kontaktowała się z

mężczyznami, dużo paliła. Po powrocie na wolność dowiedziałyśmy się, że wyszła za mąż za polskiego oficera. Po powrocie do Polski poseszli się - dostajemy od niego listy z Ełku, ale okazało się, że on nie był oficerem. A ona jest chyba na wileńszczyźnie. Myśmy były ~~wtedy~~ w obozie w Ditrinie z Irką i Martą. Czasami wybierałyśmy się na jagody, a inne kobiety mówiły: "nie idźcie tam, bo ta "wasza" z jakimś tam siedzi"... To było dla nas bardzo upokarzające - jako dla Polek.

Był taki rodzaj pracy - asenizacja. Pracowała przy tym jedna znajoma Ukrainka. A ja już wtedy ledwo chodziłam. "aproponowała mi, żebym z nią wozila ten mocz i kał - bo to lżejsza praca i lepsze jedzenie dawali. Ale ja odpowiadałam, że jeszcze nie teraz, ~~nie~~ jeszcze nie. wydawało mi się, że cała przy tej pracy przesmierdnę.

W 53r. byłam w Ditrinie. Pracowałam wtedy w obozie blisko kopalni. Na górze był obóz męski i kopalnie, a ja pracowałam przy "motowózce", którymi się wozilo rudę i drzewo. Pracowałyśmy w nocy, a w dzień spałyśmy. Pewnego dnia słyszemy jakiś płacz, zawodzenie: jakaś Rosjanka /wychowana w domu dziecka/ płakała "nasz Batia umarł" i prawie głową biła w ścianę. Specjalnych imprez z okazji śmierci Stalina w tym obozie nie było, tylko zaświtała nadzieja, że może coś się zmieni. Za pracę zaczęli płacić w 54r., powstały tzw. zaczioty - ja wypracowałam /skróciłam wyrok/ jeden rok i miesiąc. Pracowałam wtedy przy centralnym "wodowodzie". Wozilo się tam sankami drzewo, które w lecie pilowało się i układało w przyzmy. Była tam bardzo dobra brygadzistka - podobno były prokurator z wyrokiem 15 lat. Do ludzi odnosiła się bardzo dobrze i starała się, żebyśmy wyrobiły jak największe procenty. Żyła zawsze z tym, od którego to zależało, a że była bardzo ładna, to miała powodzenie i pomagała ludziom. Nazywała się Zajcowa. Zawsze ją będę paniętać. W ostatnim obozie - w Chin-chan-dży też dostawałam procenty, więc zamiast w 55r, to wyszłam na wolność w 54. Przed wyjściem z obozu wzywali do urzędu, czytali pismo, że za tyle i tyle "zacziotów" kończy się wyrok, podpisywało się to i potem wywozili nas do Ustiomczyka. Tam dawali skierowanie do pracy, ale z kolei nie chcieli nigdzie przyj-

mować więźniów politycznych. Udało mi się zatrzymać u mieszkającej już w Ustionczyku Heli Bach i czekałam na Tolę Landę, która też miała wkrótce wyjść na wolność. Jak się wychodziło na wolność to szykowało się całą "wyprawę" - lepszy buszkat /z przydziału/, Hela Nosuto szyła dla wolnych i dla nas uszyła bluzki kolorowe, z długimi rękawami, a przede wszystkim bez numeru, jakąś spódniczkę. Dostaliśmy też przez koleżankę /?/ nowe, ciepłe walonki. Zarobiłam w kopalni 900 rubli, więc coś już miałam. Po miesiącu przyjechała Tola i wyjechałyśmy na 72 kilometr, gdzie czekała już na nas Lala Kawecka. Zamieszkałyśmy u Heli Nosuto. Wzrost

Korespondencję z moim przyszłym mężem zaczęłam właśnie na 72 km. Uzupełnienie W Ditrinie były bardzo trudne warunki. Był tam tzw. "Pieriewał podumaj" - szeroki, bardzo stromy zakręt drogi, z oblodzonymi stokami, które tak błyszczały w słońcu, że człowiek ślepił, dostawał zapalenia spojówek. Niektórym tworzyło się bielmo i decydowały się na operację. Renia po tej operacji oślepiła całkowicie. Mnie pomogło to, że zasłaniałam oczy przed blaskiem śniegu, a na wiosnę trzeba było jak najdłużej patrzeć na zieleni.

Załamania były różne i różnie się wyrażały" jedna z pań zbierała po posiłku resztki z misek i odnosiła do kuchni, żeby dostać jeszcze coś do jedzenia. Jedna z kobiet, która pracowała w kopalni złota była już u kresu załamania. Był taki zwyczaj, że jak się wracało do obozu, to trzeba było przynieść ze sobą jakiś kłoc drzewa na opał. Ta kobieta już tego nie potrafiła nawet, reagowała jak dziecko, nie zbierała drzewa, tylko chodziła za nami, bo bała się, że ją zostawimy. Ale taki stan mijał. Mężczyźni, którzy przyjeżdżali z kopalni złota jedli wszystko co mogli. Dawali nam np. taką zawiesinę ze stęchłej mąki z wodą, której my nie chcieliśmy jeść, a mężczyźni to skrzętnie zbierali, zjadali wszystko. i szybko się regenerowali, zwłaszcza w żeńskich zonach /?/, bo kobiety szukały wśród nich partnerów, albo otaczały macierzyńską troską i dokarmiły. Pomagało to i fizycznie i psychicznie.

Do 72 kilometra dojechalysmy z grupą mężczyzn, którzy jechali tam do huty szkła /obóz został wtedy zniesiony/. Tam wyznaczylismy sobie spotkanie z Lalą i ze Staszkiem Taweckim i ze Zdzichą. Mąż Zdziczny był na Indigirce, potem w Magadanie i dojechał do Zdzichy. Urzędnicy byli tam dla nas bardzo serdeczni, pozwolili spać w biurze, ale nie wiedzieli co z nami zrobić, bo pracy dla nas nie było. W dzień spacerowaliśmy, ale wieczorem zaczynały się zalecanki. Na szczęście dowiedzieli się o nas Polacy /Kazik Aniewicz, Oleksyszyn i inni/ i zaczęli nas namawiać, żebyśmy się przeniosły do nich. Akurat zbliżała się Wielkanoc, była wiosna, zaczęły kojarzyć się pary. Zaczęliśmy pracować w hucie szkła. Potem pojechałam do męża, do Sejmczanu, pobralismy się. Już na Korymie zaszłam w ciążę i syn już "jechał" ze mną do Polski. Do Polski wróciliśmy na początku grudnia 1955r.

Znaczenie wiary, religii... Wydaje mi się, że musiało się tam wierzyć w coś nadprzyrodzonego, bo ta rzeczywistość była zbyt okropna. Ja wierzyłam i modliłam się, ale nie odmawiając konkretnych modlitw, tylko po swojemu. A oprócz Boga, bardzo kochałam swoją matkę i trochę szukałam jej pośrednictwa. Nieraz wydawało mi się, że nie ma ratunku, a jednak ten ratunek nadchodził. Z początku staraliśmy się urządzać wspólne święta, np. z Litwinkami, ale potem, jak już nie było sił, to pomagało głębokie westchnienie. Np. kiedyś byłam w takiej sytuacji: w obozie w Magadanie mieszkaliśmy na samym wybrzeżu, w takiej wiatce. Byłam tam jedyną Polką. Czulałam się wtedy fatalnie i za mnie do pracy chodziła jedna Ukrainka. Pewnego razu podszedł do mnie jakiś mężczyzna, przedstawiając się jako Polak - złodziej, zaczęłam z nim rozmawiać. Powiedział mi, że zna tu jedną polską rodzinę i że może mnie z nimi poznać. Zakatwił to jakos z wartownikiem i poszłam. Zaprowadził mnie do jakiejś kawiarni, gdzie siedzieli pijani mężczyźni. Ten Polak gdzieś się ulotnił, a ja zostałam sama z tymi pijanymi Rosjanami. Chyba nigdy w życiu tak się nie modliłam. Mówiłam im, że muszę wrócić do obozu, ale oni mnie nie puszczali, obiecując, że mnie odprowadzą. →

Nagle patrzę - wchodzi znajomy Ukrainiec- lwowiak. Ja od razu do niego "o, jest mój brat". Ten był zaskoczony, skąd ja się tam wzięłam, ale zorientował się w sytuacji, potwierdził, że jestem jego siostrą, że za mnie poręczył i musi odprowadzić do obozu. Wyszliśmy, a on pyta, czy wiem, gdzie my idziemy. Odpowiadam, że nie. A on: "no właśnie, przecież ja bym mógł panią zaprowadzić, gdzie bym chciał". Ale odprowadził mnie do obozu.

Obchodzenie zewnętrznych uroczystości religijnych nie było tępienie, o ile robiło się to dyskretnie.

Mąż: jeżeli było się razem z "błatnymi", jeżeli każda oznaka uczuć religijnych wywoływała piętrowe przekleństwa - i w Boga i w "mat" - to nie można było na to narażać swoich przekonań. Byłaby to profanacja i bluźnierstwo. I nie można było wtedy eksponować swojej religijności. Pozostawało to wewnątrz nas. Demonstracji religijnych nie było. W obozach spotkałem się z baptystami, a kobiety z monaszkami. Były to środowiska bardzo hermetyczne. Monaszki miały bardzo specyficzne zasady: nie chodziły do pracy na zewnątrz, ale jak można było zarobić coś dla siebie w mieście - to pracowały bardzo pilnie.

..... /Kryst./: Kiedyś utopiła się jedna Polka i poprosiłyśmy jedną monazkę, żeby zmówiła za nią modlitwę. Ale ona odpowiedziała, że "to nie nasza" i nie może tego zrobić. Chlebem też z nikim się nie dzielił.

..... /Mąż/: Z wiarą było różnie, czasem trudno było wierzyć, jeśli się widziało to, co się działo wokół: bluźnierstwa, przekleństwa, sporniewieranych kapłanów. Wi działo się, że ten świat, w którym się żyło i wartości, którymi się żyło - nagle się załamały.... Nikt z nas na początku nie wierzył w to, że przeżyjemy ten wyrok. Wydawało się, że nas to nie dotyczy. Wiedzieliśmy tylko, że Polska będzie, bo my walczyliśmy o jej niepodległość i wierzyliśmy, że tę niepodległość uzyska.

I to ~~krzyknik~~ było ważne. A trzeba było czekać długo, żeby to się ziszczyło. A wszystko to, co się nazywa wiarą, nie tylko w Boga, potrzebuje jakiegoś paliwa, które podsyca tę wiarę, nadzieję. Jeśli tego paliwa braknie, to człowiek zatracą wiarę i sens życia w ogóle.

Człowiek ulega wtedy załamaniu, a z kolei w stanie takiego załamania można utracić wszelką wiarę i nadzieję. Wystarczyło zobaczyć naczelnika "reżimu", wystarczyło zobaczyć w Nachodce sceny na pryzkach w żeńskiej zonie - jak się to wszystko demonstrowało, jak się deptało człowieka.... Ci organizatorzy łagrów chcieli nam zabrać wszystko to, co jest ludzkie, żeby człowiek był tylko jakimś przedmiotem, zwierzęciem, które reaguje tylko na kawałek chleba, na miskę bałandy, żeby nie miał łączności ze światem, żeby zapomniał, że żył, żeby uwierzył, że jest niczym. A to poczucie nicości trwało lata całe. A myśmy byli jeszcze młodzi, jeszcze się rozwijaliśmy i tamta świadomość kształtowała naszą psychikę. Znaleźliśmy się w zupełnie innym świecie, w którym żadne wartości się nie liczyły, żadne.... (Fac str. 15)

/Zona/: Był taki okres, że przysłali młodych żołnierzy, chyba specjalnie wyszkolonych, których uczono, że my jesteśmy specjalnie groźnymi przestępcami. Kazali nam ni z tego ni z owego klasć się w błoto. Jak była przetarta droga, to kazali nam iść przez zasy, strzelali do tłumu bez powodu. Była ranna dziewczyna, która wykrwawiła się na śmierć, bo nie pozwolili wezwać pomocy. Po tym fakcie co prawda, kilku żołnierzy popełniło samobójstwo. Oni sami tego nie wytrzymywali. W obozach czasem spotykali swoje matki, żony.... i popełniali samobójstwa.

/mąż/: To już w tej chwili przestało się snić, ale dawniej, jak człowiek z nikim nie rozmawiał na te tematy, to Kołyma często wracała - w nocy... Pamiętam takie zdarzenie w Lidzie: trzeba było jechać do lasu po drzewo. Zgłosiłem się, mając nadzieję, że uda się uciec, albo nas partyzanci polscy odbiją. Było nas 28. i od razu po wyjściu za bramę nasze nadzieje rozwiały się, bo konwojentów było 30 + dwa samochody z karabinami maszynowymi z przodu i z tyłu, łaziki, psy, mieliśmy więc zapewnioną całkowitą ochronę. i nikt nie mógł marzyć o ucieczce. Tak że ten czyn społeczny zrealizowaliśmy "uczciwie". Były też specjalne metody: po wyjściu z więzienia trzeba było albo siadać, albo klękać

w błocie, dopóki nie sformowano szyku marszowego. Zabijano też za każde rzekome przekroczenie "sztrafnej strefy".

W pewnych momentach człowiek nie wierzył już w nic. Wszystko było obojętne, powstawało całkowite otępienie z głodu, zimna i beznadziejności takiej, jaka tylko może być. I wtedy nawet bicia człowiek nie odczuwał. W takich momentach można było zrobić coś najgorszego, Gdybym wtedy miał siłę, to tamordowałbym był tego, który mnie bił...

*no 5/12
19*

2, /Żona/: Kiedyś wracałyśmy z pracy pod nowym konwojem, któremu sprawiało przyjemność upakowanie nas. Przyszłyśmy do baraku, była przerwa obiadowa i nic jeszcze nie wiedziałyśmy o nowych zwyczajach. Podchodzi do nas jeden z tych młodych i od razu kazał położyć się nam w błoto. A padał deszcz i myśmy przeleżały w tym błocie całą przerwę obiadową. Podobno była to kara za to, że myśmy za blisko podeszły do obozu. I wtedy myślałam: "żebym ja go mogła zabić, żebym miała czym, to bym drania zabiła". Ale to był tylko moment.

/Mąż/: Donosicieli likwidowano. Kiedyś w "Łazo" jeden z Litwinów donosił na innych Litwinów, którzy pracowali w biurze i trzymali pieniądze w mydle. Nagle - rewizja, barak zamknęli, od razu chwycili za mydło i znaleźli pieniądze. Wiadomo było, kto zdradził /chodził na wachtę, dostawał dodatkowe jedzenie/. Ja byłem wtedy okresowo "dniewalnym" i wiedziałem o nim. Pewnego razu złapałem go jak siusiał na barak. Uderzyłem go łopatą. Od razu poleciał na wachtę, poskarżył się, ja wyjaśniłem co robił, a wachta jeszcze mu dołożyła. Było takie powiedzenie, że władza lubi donosy, ale nie lubi donosicieli. Gardzili nimi.

W kopalni złota był wredny brygadziśta. "Błatnyje" odrabiali mu głowę, napaskudzili ~~na~~ na tę odrąbaną głowę - i nic im nie zrobili.

Uważam, że niektórzy przekroczyli granicę człowieczeństwa. Jak się to przejawiało i na decydowało o tym? Wspomniałem Gładuszkę, który zbierał kał i jadł go. Według mnie on zatracił wtedy człowieczeństwo.

Jeżeli na człowieku za pawkę chleba można było wymusić różne zachowania, których już nie kontrolował, to już nie był człowiekiem. Jeżeli dwóch więźniów ucieka, dochodzi do trudnej sytuacji i jeden z nich myśli, że porzucając lub zabijając drugiego uratuje siebie, to już nie jest działanie człowieka, to jest działanie zaszczutego zwierzęcia. Wtedy działa tylko instynkt.

Aby do tego nie dojść zależy chyba od silnej woli... tu może pomóc wiara w Boga...

/Zona/: tylko pytanie: - dlaczego Bóg na to pozwolił?

Relacja zakończona w marcu 1990r.

w Białymstoku

Prowadząca relację: Małgorzata
Giżejewska

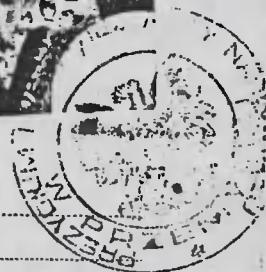


POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji

Punkt Repatriacyjny

w Murawicy Górnej



KARTA REPATRIACYJNA Nr 1310

Ob. Malinowska Konstancja c. Adamu

1925 r. (narodowo, imię, imię ojca)

przybył(a) do Polski z U.S.R.R. - Międzyzdroje

(państwo i miejsce urodzenia)

wraz z nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ami)

(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia 3. XII 1955 r.

Obecnie udaje się do Białystok

(dokładny adres)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazielowi niniejszego zaświadczenia.

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO

Wydano dn. 3. XII 1955 r.

Acodański Leopold

U W A G A : Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.